

JESTEM CHOLERNA, GWIAZDĄ



KRYSTYNA JANDA OPOWIADA O NAJNOWSZEJ ROLI W FILMIE MAŁGORZATY SZUMOWSKIEJ, KŁOPOTACH FINANSOWYCH, BORYSIE LANKOSZU, A PRZEDĘ WSZYSTKIM O SWOICH TEATRACH.

Rozmawia **MAGDALENA RIGAMONTI**

NEWSWEEK: Przystanek tramwajowy przy pani nowym teatrze to nadal Kino Ochota, a nie Och-Teatr... Nie zadbała pani o to, żeby zmieniono?

KRYSTYNA JANDA: Pisaliśmy pisma, ale odmówiono. Trudno - uodporniałam się. Teraz w ogóle wścieka mnie znacznie mniej rzeczy, szczególnie takich drobiazgów. Mam poważniejsze problemy. Proszę chwilę poczekać, tylko porozmawiam z hydraulikiem... (wychodzi na kilka minut) Sprawa dziur pod nową instalację. A to tylko czubek góry lodowej. Marysia (Maria Seweryn, córka Jandy i szefowa Och-Teatru - przyp. red.) tym

zarządza, ale teraz ma próby do premiery „Kim jest Sylwia?“, więc to jest na mojej głowie. W przyszłym roku wentylacja, a może nawet klimatyzacja. W tym tylko ocieplimy dach.

Ludzie komitety kolejkowe tworzą, żeby wejść na pani „Shirley Valentine” albo na „Boską!”, a pani mi tu o remontach, budowach...

- „Shirley” miała zawsze powodzenie. Gram ją 21. sezon. Znam takich, którzy byli 50 razy i mówią, że bez tego spektaklu nie mogą żyć. Jeśli mają problem albo depresję, idą na „Shirley” i podobno wychodzą w lepszym nastroju.

A jak pani przychodzi na „Shirley”, to co się dzieje?

- Ja lubię to grać. Ten spektakl zmienia się razem ze mną. Wiem, co mam opowiedzieć, jaka jest konstrukcja, natomiast używam środków wyrazu zgodnych z czasem, chwilą, organizmem. Premierę „Shirley” grałam w szóstym miesiącu ciąży, a zrobiłam tę rolę z nudów. Dzisiaj byłaby nie do oglądania, gdyby się nie zmieniła w zależności od etapów mojego życia.

Poza tym ten spektakl jest tani; na scenie jestem tylko ja i zawsze do dyspozycji. Gram, jak trzeba i kiedy trzeba. Na razie są tłumy.

Już chyba nie robi na pani wrażenia, że zrywają się na równe nogi, klaszczą i krzyczą: boska, boska!

- Robi, robi. Rozumiem to jako wdzięczność. Zatrzymuję oklaski, bo myślę sobie, że tak naprawdę ludzie marzą o tym, żeby już wyjść na powietrze. A i ja po tym spektaklu jestem umordowana jak pies.



Może wystarczyłoby grać Shirley, mieć komplety i dać sobie spokój z otwieraniem kolejnego teatru?

- No nie, to by była śmierć. Chociaż ostatnio dość często miewam momenty bezsilności i wątplenia. Z drugiej strony każdego wieczoru, we Włoszech na urlopie też, dostaję SMS-y z obu sal - widownie pełne, spektakle świetnie zagrane... Po takiej wiadomości zapominam o kłopotach. A na co dzień zapominam także, kiedy sama wychodzę na scenę.

Minister Zdrojewski powiedział, że jest pani dobrem narodowym. Ma pani z tego jakieś profity?

- Zależy jak to pani rozumie. To jest bardzo miły minister. Przychodzi na nasze premiery. Lubi teatr. Znamy się jeszcze z Wrocławia, kiedy on był szefem miasta i fundatorem festiwalu piosenki aktorskiej, a ja prawie co roku na tym festiwalu występowałam. A teraz ciągle mnie pyta: „I co będzie dalej? Pani powinna stać na scenie i grać, a nie remontować, martwić się o ra-

chunki. Szkoda pani na to, to praca i problemy pani niepotrzebne. Pani musi grać!”

Mówi i daje kasę? Czy tylko tak pani żałuje?

- Martwi się tylko o mnie. I chyba współczuje. Nie może dać potrzebnych pieniędzy, bo nie ma na to przepisów. Ostatnio śmiał się ze mnie, że bardziej ucieszyłam się podarowanymi przez Vogel & Noot kaloryferami niż udaną premierą. Pewnie ma rację, może rzeczywiście szkoda mnie na taką pracę, a ja myślę: no, jeszcze dwa lata, jeszcze trzy, wszystko się unormuje... A może nie wytrzymam, nie dam rady? I odejdę, zrezygnuję. Pewna jestem, że nie pociągnę długo w ten sposób. Często nie mam już siły się martwić, że coś przecieka, że trzeba zapłacić, umówić, spotkać. A grać można zawsze. Cały czas wydaje mi się, że to sytuacja przejściowa i wszystko się jakoś ureguluje, i będę miała więcej spokoju... I tak to już trwa pięć lat. Za dwa lata kończę 60 lat, a od pięciu pracuję od 6 rano do 12 w nocy. W weekendy też. W tym roku odmówiłam dwóch ról w zagranicznych filmach, dużych ról.

Ale nie odmówiła pani Matgorzacie Szumowskiej i zagrata w jej francusko-polskim „Sponsoringu”?

- No, ale to były dwa dni zdjęciowe. Na tak krótko mogę wyjechać. A odmówiłam dwóch głównych ról - każda to trzy miesiące nieobecności w Polsce.

I co? Żal?

- Trochę żal. Jeden to film francuski, drugi niemiecki. Bardzo dobre scenariusze. W ogóle po „Tataraku” Andrzeja Wajdy posypały się zagraniczne propozycje.

Postawiła pani na szalach film i teatr?

- Nie mogę teraz nic ważyć. Mam teatr i już. Muszę tu być, przynajmniej na razie.

A ja byłam przekonana, że pani ma strategię filmową i dlatego gra tylko w jednym filmie rocznie - dwa lata temu „Tatarak” Wajdy, rok temu „Rewers” Lankosza, a teraz „Sponsoring” Szumowskiej.

- Moja praca filmowa nie polega na strategii, ale na propozycjach. Jeśli rola jest interesująca, a zdjęcia do filmu realizowane są w Warszawie i kończą się tak, że mogę ▶



KRYSTYNA JANDA gra spektakl „Shirley Valentine” już 21. sezon, przy pełnych salach

▶ zdążyć do teatru na wieczorny spektakl, proszę bardzo. Jestem na miejscu, można się ze mną w każdej chwili porozumieć. Jednak propozycji z Polski nie ma. W każdym razie interesujących.

I dlatego filmowców ściąga pani do siebie? Styszałam, że Lankosz ma u pani reżyserować.

- Borys, mam nadzieję, zadebiutuje u nas w teatrze na przełomie sezonów. Będzie to prawdopodobnie „Noc Walpurgii” albo „Kroki komandora” Jerofiejewa. Bardzo trudny, ważny tekst. A spektakl będzie kosztowny i zupełnie niekomercyjny.

Z przekazem pani to mówię?

- Z przekazem? Nie, raczej ze świadomością zadania. To będzie premiera dla Teatru Polonia. A w Och-Teatrze „Kim jest Sylwia?” Edwarda Albeego będzie kosztowała tyle co dach. Reżyserują Kasia Adamik i Olga Chajdas, to w tych próbach uczestniczy teraz Marysia. Główną rolę zagra Piotr Machalica. Potem planujemy komedię napisaną dla nas przez Robina Hawdona - „Z soboty na niedzielę”. Tekst jest tak śmieszny, że przy czytaniu umieram z radości. Nie mogę się doczekać tych prób.

O czym to jest?

- Klasyk. Napisany w hołdzie Georges'owi Feydeau. Żona miała wyjechać na weekend... Nie, nie, pomyliłam. Mąż miał wyjechać na weekend, a żona pod jego nieobecność miała przerobić coś w domu i jednocześnie umówić się z kochankiem. Mąż nie wyjechał, tylko umówił się z kochanką. Po czym nastę-

puje seria pomyłek i każdy musi udawać kogoś innego. Uwielbiam ten tekst. Rola żony jest napisana specjalnie dla mnie.

A skąd pieniądze?

- Myślę o takim rozwiązaniu, żeby wykorzystując ustawę, która działa na przykład w wypadku budowy dróg, podpisać z polskim państwem umowę o partnerstwie publiczno-prywatnym. Ustawa PPP, która w kulturze jeszcze nie działa. Już zaczynam nad tym pracować. Wiem, że szkoła Andrzeja Wajdy również. W tej chwili, żeby dostać jakiegokolwiek pieniądze, muszę składać wnioski, trzyletnie plany artystyczne - szczegółowe, z nazwiskami reżyserów i dokładnie wyliczonymi kosztami. Żaden inny dyrektor teatru nie ma takiego obowiązku. I, owszem, zdarza się nam dostać granty, ale to jest dotacja ok. 3 zł do biletu. Gdyby była umowa z państwem, to o pieniądze też musielibyśmy się starać, ale podstawę finansową mielibyśmy zapewnioną.

Ile to jest ta podstawa?

- Pewnie jedną dziesiątą tego, co dostają teatry państwowe. Jednak mogłabym spać spokojniej, bo za tę sumę można zrealizować, powiedzmy, cztery premiery rocznie.

I co, minister kultury mógłby wtedy zadzwonić i powiedzieć: pani Krysiu, niech mi tu pani „Mayday” wyreżyseruje?

- Wie pani, ja nie mam nic przeciwko zamówieniom, ale nikt w Ministerstwie Kultury ani Biurze Teatrów nie dyktuje tytułów ani nam, ani teatrom państwowym. Ale jestem otwarta na propozycje. Teraz gramy codziennie, przez całe wakacje przy placu

Konstytucji, w sumie 60 spektakli. Wczoraj na przedstawieniu było 600 stojących widzów. W dużej części to inteligencja, która nie ma pieniędzy na teatr. Wielu przychodzi codziennie. A miasto codziennie ma wartościową imprezę za 3,5 tysiąca złotych. To brzmi jak żart, a i tak były problemy ze zdobyciem tych pieniędzy. Mamy już pięć plenerowych spektakli, myślę, że od dawna wypełniamy zasady umowy państwowo-fundacyjnej.

Może pani z tą misją przesadza? Może nie trzeba podawać teatru na ulicy, w dodatku za darmo?

- Mam potrzebę kontaktowania się z ludźmi, mówienia poprzez teatr o rzeczach ważnych. Przecież nawet „Boska!” ma przesłanie.

Nigdy nie buja pani w obłokach?

- Najbardziej lubię wstać i coś zrobić. I zawsze taka byłam. Lubię robić to, co robię. Sprawia mi to przyjemność i daje satysfakcję. Nie czuję się niedowartościowana, niedoceniona. Szczególnie przez publiczność. Takie życie ma sens. I praca ma sens. Czuję się wolna artystycznie.

Jest pani dobrym dyrektorem teatru?

- Świetnym. Bo już miałam i pieniądze, i nagrody, i splendory, i sławę, i powodzenie... I nie mam wygórowanych artystycznych ambicji - więcej zagrałam i zdobyłam, niż marzyłam.

Kasę umie pani zarabiać?

- W mojej pracy nie chodzi o pieniądze. Nie chcę się nachapać. Bo gdybym chciała, to grałabym w kółko „Shirley Valentine” i już. Założyłabym spółkę z o.o. i w jakiejś małej salce odkładała zarobione pieniądze dla siebie.

A granie? Satysfakcjonuje?

- Pewnie. Granie jest dla mnie czymś prostym i naturalnym. Prawie jak oddychanie. Męczy mnie umiarkowanie, co dla teatru też jest ważne, bo gram dużo, często z konieczności. Lubię ten zawód i kłopoty w tym zawodzie. Tak że nic mnie nie przeraża.

I cały swój czas poświęca pani teatrowi...

- Jestem w zasadzie samotna. Synowie są prawie dorośli, więc jestem do dyspozycji teatru zawsze i w wielu funkcjach: aktorki, reżysera, adaptatorki, szefa literackiego, akwizytora, dozorczy budowlanego, reprezentacji. I w końcu teatr jest dla mnie tak ważny, że wszystkie swoje humory, jeśli nawet je czasem mam, bo jestem podobno cholerną gwiazdą, wkładam do kieszeni i nie epatuję nimi. Dla dobra teatru. Mogę śmiało powiedzieć, że nie istnieje rzecz, której bym nie zrobiła dla naszych teatrów. Teatr i jego dobro są najważniejsze. „Czynnik ludzki” nie wchodzi w grę. Przynajmniej z mojej strony.

ROZMAWIAŁA MAGDALENA RIGAMONTI